



Anna Kieseletter

EKSPEDYCJA

Anna Kiesewetter

EKSPEDYCJA

Łódź 2016

© Copyright by Anna Kiesewetter & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Marta Bluszcz +AI

ISBN e-book: 978-83-8166-470-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2025

ROZDZIAŁ I

Zmierzchało. O ile zmierzchem można było nazwać kolejno zmieniające się barwy. Od wschodu ciągnęła ciemność połykająca coraz to większe połacie ziemi. Nikt już nie wierzył własnym oczom. Blask zamierał i na nowo kształtował w czarno-białe zarysy pozornie znany krajobraz. Podobno po zmroku wszystkie koty są czarne. Podobno kiedy znika światło, spod ziemi wychodzą demony.

Te najgorsze tkwią w nas samych. Zewnętrzne tak nie przerażają. Zatrzymujemy się w pół kroku, w pół słowa i ze zdumienia patrzymy na zebrane wokół twarze. Dotąd jasne i o wyrazistych rysach, teraz rozmywają się, składają wyłącznie z plam i światłocieni. W nocy wszyscy wyglądamy jak trędowaci.

Oddaleni od siebie czy złączeni w niepokojącym uścisku, zbieramy ostatnie okruchy światła w rozszerzone źrenice i towarzyszą nam tylko piski przelatujących nietoperzy, owych uskrzydłonych myszy, fruwających ratlerków z czarnymi skrzydłami i zębami błyskającymi ku przestrodze.

Dotknęłam kiedyś nietoperza wyciągniętymi palcami. Futerko miał miękkie, przypominające aksamit, aż chciało się je głaskać. Lecz równocześnie jego mały pyszczek przybierał coraz to nowe formy, jakby go ktoś ulepił z żywej plasteliny, na której widniały i przerażenie, i wściekłość.

Czy dotykaliście kiedyś futerka nietoperza? Jest ciepłe. Emanuje z siebie ową nieuchwytną aurą, jaką jest dotyk nieskończenie delikatny, choć ostrzegawczo błyska ostrymi ząbkami i potrafi podrapać zakrzywionymi końcami pazurków. Ale trzymając w ręku nietoperza, zastanawiałam się, co ludzie widzą w nich takiego tajemniczego i przerażającego, że w panicznej ucieczce zamykają oczy? Nietoperz jest ciepły i miękki. Ot, zatrzymany w ręku strzęp aksamitu o bijącym sercu.

Zżyłam się z ciemnością. To ona jest moim uniwersum i też poniekąd światłem odbitym, bo nocą nie istnieje żadne naturalne jego źródło. Moją przestrzeń stał się mrok i z niego wydobywam poszczególne kształty, zaledwie widoczne w blasku o nieznanym pochodzeniu. Szczególnie zimą, kiedy śnieg powtarza odbicie, załamując się w miliardach drobinek. W dzień muszę być nieobecna.

Niestraszne mi wampiry ani wilkołaki. Nie znam duchów ani upiórów. Moim środowiskiem naturalnym jest wilgotne poszycie lasu i cień podziemi, które opuszczam dopiero po zmroku. W dzień nikt mnie nie dojrzy, znikam w trzewiach jaskiń prowadzących do wnętrza ziemi. Wychodzę wkrótce potem, gdy słońce zachodzi za horyzontem.

Nie mam początku ani zakończenia. Nie zaczęłam się ani się nie kończę. Jestem czymś nieuchwytnym, równie nieuniknionym jak przeznaczenie. Nigdy nie przychodzi na wyznaczone przeze mnie spotkanie. To będzie ostatni obraz, jaki uda ci się zobaczyć.

Jestem sama dla siebie i w sobie sama, nie samotna, ale osobna i wiem, że to pojęcie jest dla niektórych nie do zrozumienia, ale trudno je pojąć nie dlatego, że nie potrafię go nazwać czy wytłumaczyć i nie dlatego, że nie poznałam codziennego bytu maluczkich, ale powód mojego istnienia w nieistnieniu jest aż nadto oczywisty. Ludzie unikają mnie i uciekają w popłochu, ilekroć się zjawiam. A przecież mnie nie wolno się bać. Bo czego?

Muszę być, więc jestem. Beze mnie nie zaistnieje ani początek, ani koniec. Jestem brakującym ogniwem, pułapką, unikiem. Ale jednocześnie wypełniam wszystko, co mi zostało dane, aż po bezkres, bowiem ten bezkres też noszę w sobie – ja, wasz cel i wasze przekleństwo. Ale czyż nie wybawiam od wszystkich trosk i kłopotów? Czyż nie uwalniam od cierpienia? Więc jak mnie nazwać? Istotą przeklętą czy aniołem przynoszącym dobroć?

Zimą moim krokom towarzyszą stada wilków. One nigdy nie czynią mi krzywdy. Wtulają swoje łby w fałdy mojego płaszcza, tam bowiem same znajdują ukojenie. Wilki. Traktowane gorzej niż najlichsze stworzenia. Więc dlaczego na mój widok ludzie uciekają w popłochu? Dlaczego żegnają się krzyżem, kiedy ich mijam? A ja pozdrawiam obecnych w imię wszystkich świętych. Czy tego chcą, czy nie, ja i tak zawsze będę istnieć.

Kiedy nad wierzchołki drzew wschodzi księżyc, wilki podnoszą łby do jego tarczy i zaczynają śpiewać. Ich śpiew zwołuje pozostałe: przybywajcie, czeka na was

stado i jeszcze ciepły pokarm. Ale jednocześnie w takich momentach wilki wzywają mnie. Bo karmią się mną, tak jak ja karmię się ich siłą przetrwania, ich lękiem, ich pośpiechem, gdy zdyszane gonią po bezdrożach swoją kolejną zdobycz.

Błogosławię je wtedy jednym ruchem dłoni. Bądźcie pozdrowione, życzę udanych połówów. I w środku nocy, kiedy rozrywają swoją ofiarę na strzępy, ta ofiara jest składana mnie dla większej chwały, podczas gdy mgła unosi nad ziemię w przestworza tajemnicę władzy i wiedzy tajemnej. Bo ja nie tylko zabieram, ale i daję życie. Daję i zabieram. A kiedy kończą nad ranem swe łowy, podchodzę do moich wilków siedzących w ciemności, sytych niedawno spożytym obiadem, i to ja je układam do snu w głębi kniei.

Podobno kiedyś mnie nie było i kiedyś mnie nie będzie. Ale jednocześnie i byłam, i będę. Jedyna w sobie i niezaprzeczalna. Trwam. Określona jedynie przez ramy czasu. Albowiem we mnie istnieje zarazem i czas narodzin, i czas dojrzewania, i czas płodzenia dzieci, i czas starości, i czas odchodzenia. Jedna jedyna i nieodwracalna. Wszedłszy w moje przestrzenie, nikt już nie jest w stanie wrócić po własnych śladach.

Wychodzę po zmierzchu i patrzę na swoje królestwo. I na darmo ktoś krzyczy: więcej światła! Ja światła ze sobą nie przynoszę. Ja je zabieram. Wchłaniam w siebie i ono przestaje istnieć. Moja samotność bierze się stąd, że niczego nie daję, ale wszystko mogę odebrać. I gdzieś

za sobą zostawiam nieutulonych w żalu. Przygarniam za to tych, co już nie mają dość siły, aby iść dalej przed siebie. Biorę ich za rękę i prowadzę tam, gdzie wreszcie mogą odpocząć, wciągnąć pełną piersią ożywcze powietrze w wolne już płuca i zanurzyć się w ukojeniu i ciszy poranka. Ja...

Ja ocieram łzy sierot, jednym ruchem dłoni wyzywam na pojedynek absolut i nad nim panuję. Jestem nie tylko pamięcią, ale i zapominaniem. Za moją sprawą wszystkie dobra pokrywają się kurzem, wszystkie skarby rozpadają się w pył. Burzę bariery uprzedzeń i podziałów na sprzymierzeńców i wrogów. Dlaczego wobec tego wznieciam w ludzkich umysłach aż taką nienawiść i strach?

A kiedy zaczyna się dzień, rozpływam się w słońcu. Znikam w rozpalonym powietrzu. Staję się niewidzialna. Mówią o mnie „nienasycona”, ale przecież nikogo nie pożeram. Mówią „zachłanna”, ale ja niczego nikomu nie odbieram. Nie gromadzę. Nie kolekcjonuję. Moja potęga zaczyna się tam, gdzie kończy się wszelka władza i wszelkie bogactwo. Ludzie, idąc moim śladem, zostawiają za sobą nawet własne ciało. A ja ofiarowuję im życie, którego już nikt nigdy nie będzie w stanie odebrać. Zatem nie odbieram, ale daję. A nowe życie pulsuje razem ze mną. Ono nadbiega i cofa się jak fale oceanu. Wiec sama też jestem życiem. Tym ostatecznym, wiecznym i niezniszczalnym.

Przeklinają mnie, chcą wypędzić i obezwładnić. Ale nawet nie przypuszczają, jak wielka jest moja cierpliwość.

Albowiem spełniam tylko jedno życzenie. Jestem odpoczynkiem. Uwolnieniem. Zatrzymaniem w biegu. Snem. A oni nie wiedzą nawet, kim jestem.

Czasem siadamy wspólnie nad partią szachów. Kiedy wydaje się wam, że nie widzę, usiłujecie przestawić pionki i ze mną wygrać. A ja tylko patrzę i milczę. Moją największą siłą jest bowiem milczenie. Nawet wiatr cichnie, kiedy przechodzę obok. Napęczniała piorunami burza układa się u moich stóp jak wierne zwierzę. Czego we mnie szuka, czego oczekuje ode mnie? I kim dla niej jestem? Ja jako sama wieczność? Samo przeznaczenie?

Wilki sierść mają szorstką pod moimi palcami. Wznoszą ku niebu pyski i śpiewają swoją nieśmiertelną pieśń. Nawet psy płaczą, zamierają strumienie, ustaje wszelki ruch. Cały świat się staje jednym wielkim znie-ruchomieniem. Tylko wtedy wilki słyszą nocą.

Ale gdzieś się czai ciepły, wiosenny powiew i łagodzi surowość zimy. Przynosi promienie słoneczne i obiecuje zmartwychwstanie. Stępia nawet ostre krawędzie kamieni. Wszystko staje się miękkie i przyjazne. Na każdej łące zakwitają kwiaty i można po nich iść i iść przed siebie.

To nic, że wszyscy kojarzą mnie wyłącznie z ciemnością. Że moje oczy są jak serce agatu – nieruchome, błyszczące i czarne. W moich oczach nie widać ani jednej z barw. Ale biel, szarość i czernie też mają swoje odcienie. Układają się w pejzaż ze starej fotografii, obrysowany przez biel i czern. A wilki w wiosennym powietrzu

zaczynają tańczyć swój odwieczny balet. Porywa ich nieustanny ruch i pęd przed siebie, pozornie donikąd, a ja czekam, aż wreszcie skończą swoje gody i wrócą tam, gdzie zaczyna się moje królestwo. Nie kieruję nimi, nie wołam ich. Czekam. I wracają, stęsknione spokoju, zanurzenia w czerni; czekają na następną spokojnie przespaną noc.

Nie lubię przemocy. Brzydzę się krwią i zbrodnią. One nie mają prawa istnieć. Gdyby to ode mnie zależało, nikt by nie odchodził nadaremnie. Nienawidzę życia zerwanego w pół kroku. Niechętnie przyglądam się tym, którzy skracają innym należy im czas. Narodziny, dojrzewanie, płodzenie, zmierzch. Ale ja przychodzę tylko nocą, kiedy wszystko ogarnia ciemność.

Przerwane trwanie to czas niedokończony. To zdanie, w którym nie postawiono ani kropki, ani nawet znaku zapytania. To bez sensu. Tak nie powinno być. W każdym nieszczęściu widzę jedynie niesprawiedliwość, jaką wyznaczył komuś los. Nie chcę, aby mnie przeznaczeni odchodzili w pół drogi, w pół słowa, w samym środku dnia.

Nie cierpię niedokończonych spraw. Wszystko powinno mieć jakiś finał, jakieś zwieńczenie dzieła. Kiedy pisarz skreśli ostatnie litery w słowie „koniec”, kiedy z budowy zejdzie ostatni murarz, kiedy bankier podliczy ostatnie dochody, kiedy prosta krawcowa wreszcie odwiesi ukończoną sukienkę na jakiś ślub – dopiero wtedy uważam, że praca została dokonana. I przychodząc do tego rodzaju ludzi, mam jedynie poczucie dobrze

spełnionego obowiązku. Ja się z niego wywiązałam, ale oni też.

I zaklinam, przez litość dla siebie samych, nie prowadzajcie do mnie dzieci! Kto wam pozwolił pozbawiać światła tych, którzy go jeszcze nie zdążyli poznać? Ktoś musi was od takich czynów powstrzymać. Unieruchomić rękę wzniesioną w geście zbrodni. To ja!

Nie czas, nie czas, nie czas. Niech zdążą ochłonąć zagniewani. Niech się zdążą pogodzić rozgoryczeni. Niech z oczu pełnych nienawiści opadną łuski. Ja jedna jestem w stanie pogodzić nawet najbardziej zaciekłych wrogów. Rozdzielić walczących. Osądzić zwaśnionych. I wtedy dopiero mogę odpocząć po całym pracowitym dniu. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Staję na krawędzi wszechświata, wciągam w płuca chłodne powietrze nocy, a wokół mnie zbierają się zawsze towarzyszące mi kroki – to wilki przychodzą na każde wezwanie. I mogę spojrzeć w płonące czerwonym światłem oczy, aby im powiedzieć: „Już czas”.

ROZDZIAŁ II

Dwóch archeologów jadących na koniach zatrzymało się na szczycie wzgórza. Przed nimi rozpościerała się dolina zarośnięta puszcza, nad którą tu i ówdzie unosiły się barwnie upierzone ptaki. Mieli za sobą tygodnie przedzierania się przez zarosłe kolczastymi krzewami bezdroża. Nie mogli nawet skorzystać z samolotu. Nie znali śmiałka, który by się odważył wyskoczyć na spadochronie w ten gąszcz splątanych ze sobą roślin, szczególnie że nikt żywy do tej pory w ten rejon jeszcze nie dotarł. Lądowanie wśród drzew byłoby czystym szaleństwem, choć gdzieś tam widniały pojedyncze gołe płyty ziemi. Tak się przynajmniej wydawało, kiedy obserwowali tę część puszczy z pokładu śmigłowca.

Wszyscy odradzali im tę wyprawę. Krążące o niej opowieści przypominały cytaty z „Piekła” Dantego. Nie wiadomo nawet, czy ktoś tu dotarł przed nimi, skoro z żadnej wyprawy nikt nie wracał, nawet najbardziej doświadczeni naukowcy. Znikali, jakby tu właśnie znajdował się następny „Trójkąt Bermudzki”, a ślad po nich dodatkowo zacierają częste w tej krainie deszcze i wiatry. Po prostu wjeżdżali w sklepienie z wykrzywionych na wszystkie strony konarów i nie wracali.

Tubylcy nazywali ten obszar „Tierra de la Muerte” i nie było śmiałka, który by się odważył przekroczyć granicę tej ziemi. Za ścianą splątanych gałęzi zaczynała się

ojczyzna niczyja, nigdy nie zbadana, kryjąca – według legendy – niezmierzone skarby i znaleziska, o które biłyby się muzea na całym świecie. Ale kolejny śmiałek naruszał granicę, z dumą na twarzy wkraczał w zakazany rejon i nigdy z niego nie wracał.

Na kilku uniwersytetach ufundowano pamiątkowe tablice poświęcone ofiarom wypraw do tego tajemniczego zakątka. Lista wydłużała się, a dalej nikt nie mógł się pochwalić żadnym odkryciem ani nawet przetransportowaniem szczątków choćby jednego z naukowców, którzy wydawali się trafiać do innego wymiaru czasu. Nie znaleziono też (przynajmniej z powietrza) ani jednego wulkanu, nie natrafiono na żadne wyjątkowo jadowite gady, w tych okolicach nie występowały zdradliwe rośliny, nie było na czym oprzeć swoich przypuszczeń. A jednak nie wracali. Kolejna ekipa wchodziła w gęstwinę dżungli i ślad wszelki po nich ginął, jak gdyby zniknęli w niebycie.

Zbierano miejscowe legendy, ale nawet one nie wносиły niczego nowego do wiedzy, którą i tak już zdołano wcześniej zdobyć. Zdawało się, że ściana zieleni odgradzała w sposób ostateczny świat martwych od świata żyjących. Przyjęło się zatem, że kiedy kolejna ekipa naukowców wkraczała w zakazane rejony, we wszystkich miejscowych kościołach odprawiano msze żałobne na wszelki wypadek. Wielu przeklinało ten zwyczaj, ale nie znalazł się nikt, kto by śmiał zaprotestować przeciwko takiej ostentacji. Szczególnym poważaniem cieszyła się

ostatnia na tym szlaku kaplica, zbudowana na kształt gigantycznej czaszki, do wnętrza której wchodziło się dwoma bramami stanowiącymi z daleka pustkę oczodołów.

Ten kult śmierci tuż obok zagadkowego terenu jednych śmieszył, innych odstraszał, ale niezmiennie pojawieniu się następnej ekipy badaczy zawsze towarzyszył ten sam rytuał, od wielu lat niezmienny. Odprawiano msze żałobne i rozchodzono się do domów. Kiedy przekraczali niedozwoloną granicę, wiadomo było, że żaden z nich nie powróci, jakby każdy ze śmiałków zapadał się pod ziemię.

Dziwny to był kraj i dziwny obyczaj. Mimo że ziemia ta położona była w subtropikach, każdej zimy padał tu śnieg, przykrywając wszystko białą powłoką jak całunem. Po nocach z głębi puszczy dochodziło wycie wilków – rzecz niespotykana na tej szerokości geograficznej. Dziwne zjawisko tłumaczono wysokim nad poziom morza położeniem tego pozornie południowego zakątka. W końcu powyżej pewnej granicy nawet na terenach okołorównikowych temperatura spada poniżej zera, zaś zjawisko to zależy od wiecznej zmarzliny pokrywającej nieosiągalne szczyty.

W rozrzedzonym powietrzu trudniej było oddychać, ale konie żyjące tu od pokoleń łatwo znosiły trudy podróży. Tam, gdzie nie można było wykorzystać innych środków lokomocji, te pokryte gęstym włosiem nieduże kuce z zadziwiającą lekkością pokonywały nawet

najdalsze odległości, często dźwigając na grzbiecie dodatkowy ciężar.

Nagle z upału i wilgotnego, dusznego powietrza wkraczało się w sferę zimnych wichrów i oszronionych gałęzi, oddychało się tlenem o zbliżonej do zera temperaturze i, co charakterystyczne, o przejrzystości kryształu. Wszelkie odległości zmieniały swoje proporcje. Góry wydawały się zbliżać na wyciągnięcie ręki i jakież było zdziwienie podróżnych, kiedy upływały nie dni, ale miesiące, zanim zdołano do nich dotrzeć.

Inny panował tu klimat i inna roślinność niż w pobliżu wielkich skupisk ludzkich, które trudno było ominąć. Przejeżdżało się terenowymi samochodami przez kolejne metropolie, żeby zatrzymać się właśnie w tym miejscu, zaś cały bagaż powierzyć grzbietom koników o grzywach i sierści sięgającej kopyt. Gdzieś odpływała w mrok przeszłości cała nowoczesność, znikaly wszystkie osiągnięcia cywilizacji. I, jak zauważono, na tym terenie nie działała żadna komunikacja poza ludzkim głosem.

Ta ziemia, jakże odmienna niż pozostałe, wymykająca się wszelkim wyobrażeniom o inności, tak nietypowa, że trudno by było znaleźć jakiś jej odpowiednik w pozostałych rejonach świata, nie pozwalała nikomu na odkrycie swoich tajemnic. W ustach miejscowej ludności opowiadania brzmiały jak ciąg bajecznych legend, jak fantazje opowiadane przy ogniskach. Ale z minuty na minutę stawały się rzeczywistością dla każdego, kto

odważył się choć zbliżyć do jej nieprzekraczalnej granicy, za którą, jak twierdzono, największy śmiałek kulił się ze strachu, zaś naukowiec zaczynał wątpić w całą swoją dotychczasową wiedzę.

Ludzie otaczali szacunkiem ową ścianę zieleni, niezbadaną i nieprzeniknioną. Botanicy i biolodzy, znawcy fauny i flory z całego świata, grupy archeologów i badacze wyjątkowo rzadkich minerałów stawali przed tą nieuchwytną granicą i albo się cofali i wracali tam, skąd przybyli, albo wkraczali w jej gęstwinę i znikali na zawsze. Na pograniczu tych dwóch światów pozostawiało się za sobą życie rozkwitające, by tylko gonić cienie śmierci grożące śmiałkom na każdym kroku. Można było albo tam nie wchodzić i przeżyć, albo wejść i już nigdy nie wrócić.

Kiedy ktoś mijał przydrożne kamienne krzyże i decydował się zniknąć na zawsze w przerażającym gąszczu, w pobliskich kościołach milkły powoli msze żałobne odprawiane z tej okazji, zaś szczególnie uroczysta ceremonia odbywała się w ostatniej na szlaku kaplicy, co jak *memento mori* sama straszyla swoim kształtem i symbolem. A potem zieleń zamykała się nad głowami wjeżdżających ludzi, odgradzała ich skutecznie od zewnętrznego świata, zaś po skończonym nabożeństwie mieszkańcy przygranicznej osady spokojnie rozchodzili się do domów.

Nie musieli długo czekać na kolejną uroczystość. Prawie natychmiast zjawiali się następni śmiałkowie, by po zastanowieniu wejść albo się cofnąć. Zupełnie jakby

ta granica już sama w sobie stanowiła wyzwanie tak pociągające, że nikt nie mógł się powstrzymać od zbliżenia się choć na niewielki dystans do zakazanej strefy. I tylko ci, którzy się wycofali, mogli przeżyć zetknięcie z tym zadziwiającym światem. Innych pochłaniała zieleń, zakrywała jak płyta nagrobna i ich realny pobyt w tych stronach pozostawiał ślad tylko na coraz bardziej wyblakłych fotografiach.

W nocy z głębi dżungli dobiegały głosy dzikich zwierząt, albo – co napawało strachem nawet najodważniejszych – przenikliwe wycie wilków, które niosło się hen, poza miasteczko przytulone do stóp górskiego masywu. Wycie powtarzające się z przerażającą regularnością wraz z każdą pełnią księżyca. Wilcze echo niosło się daleko i głośno, szczególnie wtedy, kiedy spadł śnieg i całą okolicę wypełniała cisza.

Dziwne to było miejsce, chyba nigdzie indziej nie spotykane, jedyny w swoim rodzaju krajobraz. Suche i orzeźwiające powietrze w połączeniu z zapachem zgnitych liści i dymem płonących polan posiadało zapach, który szczególnie w zimie kojarzył się z ciepłem rodzinnego domu i ogniem rozpalanym w piecach.

Kiedyś przebywająca tu grupa francuskich naukowców nazwała ten szczególny zapach palonych w ogrodach liści i pierwszych rozgrzewanych przed zimowym mrozem pieców „parfum de mort” i ta nazwa przyjęła się tak powszechnie, jak przyjmowały się i inne, które dotyczyły zimna, rozkładu i śmierci.

Zaiste dziwni ludzie zamieszkiwali te okolice. Nie przeszkadzało im ani ponure otoczenie, ani kaplica w formie czaszki, ani wyjące nocami wilki, ani nawet kolejne msze żałobne odprawiane we wszystkich pobliskich kościołach. Może po prostu zdążyli się już przyzwyczaić. Bo w końcu do czego nie jest się w stanie przyzwyczaić człowiek, który zna każdą piędź tej ziemi od urodzenia.

A przyjezdni zadawali im pytania, jak to jest możliwe, aby w takiej atmosferze tutaj i żyć, i mieszkać. Ale nie otrzymywali na swoje pytania żadnej odpowiedzi. Taka odpowiedź po prostu nie istniała.

Spis treści

ROZDZIAŁ I	4
ROZDZIAŁ II	12
ROZDZIAŁ III	19
ROZDZIAŁ IV	26
ROZDZIAŁ V	33
ROZDZIAŁ VI	40
ROZDZIAŁ VII	47
ROZDZIAŁ VIII	54
ROZDZIAŁ IX	61
ROZDZIAŁ X	68
ROZDZIAŁ XI	75
ROZDZIAŁ XII	81
ROZDZIAŁ XIII	88
ROZDZIAŁ XIV	95
ROZDZIAŁ XV	102
ROZDZIAŁ XVI	110
ROZDZIAŁ XVII	116
ROZDZIAŁ XVIII	122
ROZDZIAŁ XIX	128